

## Bomba Radosław

### Piąte słońce

Z „Science Fiction” nr 11 – styczeń 2002

*Dla Anety S.*

*„Ci co którym gaśnie puls Ci co kontrolowani więdną  
Ci co zdają się wierzyć, że ocierają się o sedno  
Ci co kiedyś byli tu Ci co teraz tutaj są  
Niczym się nie różnią... ”  
Pidżama Porno „Xero z kota”*

Deszcz nie padał już od ponad dwudziestu lat. Pamiętam jeszcze czas, gdy byłem małym chłopcem, wówczas świat wyglądał inaczej. Woda była niemalże wszędzie, całe rzeki, strugi i wielkie kałuże po deszczu, w których taplaliśmy się w brudnych gumowcach. Używana była nawet do mycia. Kąpiele te były wspaniałe, orzeźwiający i pełne świeżości, tak różne od wysuszającej skórę chemii. To było tak niedawno, a wydaje mi się mglistym wspomnieniem dobrego snu, zbyt odległym, bym mógł nazwać go realnym. Świat współczesny, mimo niebywałego postępu i kompletnego wyzbycia się wojen, chyli się ku upadkowi.

Sunałem powoli na północ, przebijając się aerolotem przez pierwsze czerwone zorze wschodzącego słońca. Kolejne myśli sunęły mi przez głowę jak ulotne i monotonne widoki pode mną. Martwe wyludnione miasta i opuszczone wioski, wchłaniane powoli przez wszechobecny piasek. Czasami przypominały mi skaliste wyspy z wrakami samochodów i ruinami budowli zamiast roślinności. Ludzkość z populacji liczącej siedem miliardów, jeszcze przed wojną została zredukowana do stu milionów rozrzuconych w małych enklawach po całym globie. Po wojnie, jakieś czterdzieści lat temu, podpisano traktaty pokojowe, w których zawarto ustawę o kontroli narodzin i obowiązkowych wszczepach. Niemowlętom wszczepiano urządzenia przetwarzające agresję na energię kumulowaną w małych akumulatorach. Szybki rozwój genetyki pozwolił na zasilanie za pomocą tej energii innych implantów, udoskonalień cielesnych i urządzeń zewnętrznych takich jak mój aerolot, który zasiląłem i kontrolowałem przez złącze w nadgarstku. Wszędzie panował spokój, a sfrustrowanym ludziom pozostawała jedynie smutna refleksja, przytłaczająca i pełna goryczy świadomość końca i upadku. Jak na ironię człowiek mógł robić prawie wszystko dzięki potężnym maszynom, które drażyły szyby kopalni w jeden dzień, w ciągu tygodnia mogły wznieść ogromne miasto, a nawet przenosić biblijne góry, lecz ich potęga nie mogła zastąpić braku wody. Spowodowało to, że ludzkość uzależniła się od stapianego na biegunach lodu i śniegu z górskich czap. Cała Ziemia opasana została pajęczyną rur, tłoczących ostatnie pierwiastki życia do małych społeczności.

W istocie jesteśmy jak te pasożyty, które do końca eksploatują i tak już martwego żywiciela. Jediną rzeczą, różniącą nas od robaków, jest świadomość. Gdy żywiciel umrze, my podzielimy jego los.

Opuściłem dach pojazdu, aby w jakiś sposób oderwać się od pesymistycznych rozważań. Jeszcze dość chłodne o tej porze powietrze owiało mi twarz. Przyśpieszyłem i przymknąłem oczy. Lot upajał i dawał namiastkę wolności. Powietrze niosło mnie po przestworzach, pozwalało zapomnieć. Trwało to kilka minut. Moją rozkosz przerwał ostry i rzeczowy komunikat pojazdu:

„PANIE TORQUEZ, ZA PÓŁ GODZINY DOLECIMY DO MEKSYKU”.

Przetarłem oczy i wyjąłem mapy i zdjęcia satelitarne ze schowka.

- Dziękuję - odpowiedziałem maszynie i zacząłem studiować dane.

Pracowałem jako inżynier do spraw złóż. Praca prawie bez sensu. Moim zadaniem było odkrywanie złóż wody. Znajdowano je czasem w różnych miejscach. Najczęściej tam, gdzie kiedyś były oceany, morza, lub wielkie jeziora, jednak dane dość często były z niewiadomych powodów mylne, a rzadko znajdowane złoża zbyt małe, aby zaspokoić rosnące pragnienie całej planety. Dane z Meksyku wyglądały obiecująco, jednak ich prawdziwość była dość wątpliwa. Satelity lustrujące glob na początku uznały ten teren za kompletnie suchy. Dopiero niedawno odkryto tam złożę, tak jakby wcześniej go tam nie było. Owszem, w dolinie

Meksyku było kiedyś wielkie jezioro Texcoco i mniejsze przyległe do niego akweny. Z autopsji wiedziałem, że większe zbiorniki wysychały bez śladu, a satelity często myliły się w tej kwestii. Jednak musiałem sprawdzać nawet najmniej wiarygodne informacje.

Słońce wstało już na dobre ukazując się w całym majestacie nad swoim pustynnym królestwem. Na horyzoncie majaczyły czarne skały doliny, odcinając się od reszty tonącego w złotych barwach piasku. Wydałem komendę przyciemnienia szyb i rozciągnąłem się wygodniej na fotelu. Przeglądałem zdjęcia. Zbliżenia umiejscawiały zbiornik w okolicach starej świątyni. Miejsce to pamiętało czasy Azteków.

Dziwiła mnie ich kultura. Krwawe uroczystości, masowe ofiary i zadawanie sobie bólu dla radości bogów. Mój zasób wiedzy o prastarych mieszkańcach Meksyku był nad wyraz skromny, może dlatego zawsze napawała mnie wstrętem i dziwnym lękiem cywilizacja oparta na śmierci i ociekająca krwią. Swoją drogą, zabawne było to, że zarówno oni jak i my, wkrótce zjednoczymy się w jedną wspólną całość, jedność w nieistnieniu. Bez podziału na dobrych i złych, bez kary i nagrody, w jednej wspólnej mogile niebytu.

Aerolot swobodnie ominął spękane skały. Krążyłem teraz nad doliną, szukając dogodnego miejsca do lądowania. Największe miasto świata rozciągało się u moich stóp. Jedyne mianem, jakie można by mu teraz nadać, było największe cmentarzysko świata lub mogiła cywilizacji. Rozsiane wśród osiedli bloków i rozpadających się małych budynków wieże starych kościołów, spękane i dość często na wpół zburzone, wyglądały jak połamane palce, które ośmieliły się grozić niebu. Czarne nitki ulic i opustoszałe place zawałone śmieciami roily się od starych porzuconych samochodów, z tej wysokości wyglądających jak małe owady, szarańcza, która obsiadła miasto. Obrazu kompletnego upadku dopełniały wraki barek i małych statków na pokrytym siatką pęknięć dnie wyschłego jeziora. Wszystko tonęło w kurzu i piasku. Cała ludność została wysiedlona jakieś dwadzieścia pięć lat temu, gdy skończyła się woda, i rozrzucana po sieci placówek w okolicy, między innymi w Guadalajara i Monterrey. Resztę zostawiono na żer przemijaniu.

Zrobiłem kolejną rundę, po której ukazał mi się kompleks piramid na obrzeżach miasta, otoczony szerniałymi kikutami drzew i wysuszonymi resztkami roślinności, jaka pozostała z lasu. Budowle te wydawały się dobrze wkomponowane w krajobraz. W końcu one dłużej doświadczały pustki i porzucenia niż stosunkowo młoda reszta gigantycznej metropolii. Wydawały się wieczne, jak gdyby zrosnięte z czasem, stanowiące jego materialne odbicie. Nie objawiało się to w ich przemijaniu, ale w ich trwałości. Tylko czas nie przemija.

Powoli osadziłem pojazd na placu przed budowlą. Spod dysz aerolotu wzbily się w powietrze tumany kurzu i pyłu, by osiąść grubą warstwą na czarnym panczeru furgonu. Odłączyłem się od pojazdu i wyjąłem plecak z miernikami. Drzwi podjechały do góry z cichym sykiem. W nozdrza uderzyła mnie fala gorącego i suchego powietrza, zniechęcając do podejmowania jakichkolwiek działań. Przewyciężyłem niechęć i wygramoliłem się na spieczoną ziemię. Stałem teraz u stóp budowli.

Zbudowana z segmentów piramida przytłaczała swoim ogromem. Ku szczytowi prowadziły wytarte i miejscami pokruszone schody. Na szczycie znajdowała się mała galeria, z widocznym stąd czarnym kamieniem ofiarnym o regularnym kształcie. Dookoła wznosiło się kilka podobnych piramid, jednak ta wydawała się największa. Niewiele myśląc, zacząłem wspinać się po zwietrzałych stopniach. Próbowałem wczuć się w myśli tych, którzy odbywali tu swoją ostateczną drogę na szczyt, by odebrać śmierć z rąk kapłanów, pracujących jak mordercze automaty okrwawionymi nożami z obsydianu. Mimo wszechogarniającego gorąca dreszcz wstrząsnął moim ciałem. W połowie drogi obejrzałem się, aby spojrzeć na resztę dawnego imperium. Poczułem się nieswojo. Ściany posępnych budowli miejscami pokrywały dziwne reliefy, nader wyraziście odtwarzające wspaniałe uczyty i uroczystości, podczas których na szczyty świątyń, jak barany na rzeź, prowadzono setki ludzi przeznaczonych na ofiarę bogom. Teren otaczały czarne, dziwnie powykręcane posągi, których pokrzywione oblicza żarłocznie patrzyły przed siebie. Miałem wrażenie, że, podobnie jak drapieżniki, przyczajone w cieniu cierpliwie oczekują swojej zdobyczy, pewne, że ofiara im się nie wymknie. Wszechobecna cisza dopełniała niemal namacalnej atmosfery wiszącej w powietrzu groźby. Wiatr był dawnym wspomnieniem, o którym zapomniały nawet wysuszone resztki roślin, nieśmiało wyglądające zza mrocznych i zwalistych brył budowli. Otarłem z twarzy pot i osłoniłem oczy dłonią, aby ogarnąć całość kompleksu. Nagle moje skupienie przerwał monotony śpiew.

Drgnąłem przestraszony. Serce zaczęło bić w szaleńczym tempie. Rozbieganymi oczami lustrowałem twarze kolejnych posągów; ich wyszczerzone w szyderczym grymasie zęby jeszcze potęgowały mój lęk. Nogi zrobiły się dziwnie miękkie i lekkie. Śpiew był wyraźny i natarczywy, więc nie mógł być wytworem mojej wyobraźni. Drżącymi rękami odpiąłem blaster od paska. Ostrożnie zszedłem po kruszących się

stopniach. Dźwięk wydawał się dochodzić z jednej z piramid. Kiedy lądowałem, widziałem tam mały placyk otoczony kikutami zeschniętych zarośli. Zacząłem starannie stawiać stopy, pilnując, by umykające spod nich kamyczki nie czyniły zbyt głośnego hałasu. Wydawało mi się, że mój oddech i łomotanie serca roznoszą się dookoła i odbijają echem od starych budowli. Podeszedłem do małej piramidy i zacząłem się skradać wzdłuż jej ścian. Dłonie pocily mi się na rękojeści blastera. Lufą odgarnąłem zarośla, zza których dobiegał wyraźny, modulowany głos śpiewaka. Na środku placyku zobaczyłem klęczącego człowieka. Spod przymkniętych powiek widać było tylko białka oczu. Drugie czarne włosy, upięte na głowie w czub, co chwila zamiatały wyschniętą zakurzoną ziemię, gdy ciało wykonywało spazmatyczne ruchy w rytm pieśni. Postać miała na sobie tylko wytarte dzinsy, do których przyczepione były kolorowe korale, małe kostki i pióra. Uspokoiłem się nieco.

Często teraz można było spotkać pustelników i proroków. Ostatnimi czasy popularność sekt i różnego rodzaju ruchów religijnych wzrosła. Każdy na swój sposób szukał zbawienia. Większość ludzi bardziej liczyła na tamten świat i w nim szukała pociechy.

Już miałem krzyknąć i wyrwać tego człowieka z transu, gdy nagle zauważyłem dziwny ruch w krzakach naprzeciwko niego. Szelest ten był tak wyraźny i gwałtowny, że Indianin się ocknął. Przetarł oczy i urwał śpiew w pół zwrotki. Przez chwilę lustrował zarośla i próbował ustalić miejsce, z którego usłyszał szelest. Robiłem to samo, co chwila zerkając na niego. Nie widział mnie, a ja wolałem poczekać na wyjaśnienie sytuacji. Kątem oka spostrzegłem, że zwałista postać Indianina zamarła w bezruchu, a jego wielkie oczy utkwily w jednym punkcie i jeszcze bardziej powiększyły się ze zdziwienia i strachu. Szybko spojrzałem w tę stronę. W samą porę, aby ujrzyć potężne zwierzę, wynurzające się prawie niesłyszalnie z gęstwiny krzaków. Ciało jaguara rzuciło mroczny cień na drżącą postać Indianina. Bestia ryknęła przeciągle i ochryple, ukazała żółtobiałe kły wielkości palca wskazującego, a jej ślepie zaświeciły dzikim blaskiem.

Stałem jak sparaliżowany, zapominając o broni, kurczowo ściskanej dłonią. Zwierzę tymczasem skurczyło się w sobie i nastroszyło na karku cętkowaną sierść, by po ułamku sekundy wyskoczyć w powietrze jak rozprężona sprężyna, z rozpostartymi łapskami naszpikowanymi ostrymi brzytwami szponów. W mgnieniu oka moje ciało złożyło się do strzału; pociągnąłem za spust blastera. Usłyszałem przeciągły ryk i zobaczyłem wielkie cielsko bezwładnie lecące w krzaki. Po chwili dotarł do mnie spóźniony krzyk Indianina, który skulony, z zaciśniętymi powiekami, czekał na śmierć.

- Już po wszystkim, spokojnie. - Wyszedłem z krzaków i drżącym głosem starałem się go uspokoić.

Wzdrygnął się i powoli otworzył oczy. Jego twarz szybko ściągnęła się w surową maskę.

- Dzięki. Chyba uratowałeś mi życie. - Wstał i otrząpał się. - Teraz należy ono do ciebie.

- Wystarczająco dużo kłopotów mam ze swoim, ale dzięki.

Spojrzał na mnie i wytarł krople potu z czoła.

Wciąż trzymając przed sobą blaster, skłoniłem mu się i ostrożnie poszedłem w stronę krzaków, gdzie zwały się cielsko jaguara.

Swoją drogą, to dziwne. Ostatnie zwierzęta dogorywają w nielicznych, stopniowo likwidowanych ogrodach zoologicznych; nie miałem pojęcia, skąd wzięło się tu to bydło, ciekawe też, jak radziło sobie bez wody. Odgarnąłem suche gałęzie i spojrzałem w miejsce, gdzie powinno leżeć sparaliżowane zwierzę. Cholera, nie było go. Wzdrygnąłem się i rozejrzałem dookoła.

- To duch - usłyszałem za plecami. Odwróciłem się gwałtownie. Indianin patrzył na mnie swoimi wielkimi oczami z obojętnym wyrazem twarzy, jakby mówił mi o czymś tak naturalnym jak wschód słońca.

- A ja przyleciałem z Marsa - uśmiechnąłem się ironicznie. Indianin zignorował to.

- Chodź, może coś zjesz, mam też trochę wody. - Odwrócił się i skierował w stronę miasta.

Musiał być jeszcze trochę roztrzęsiony, ale panował nad sobą. Zupełnie jak gdyby takie sytuacje zdarzały mu się codziennie i były normalnym elementem dnia.

Przez chwilę wahałem się. Schowałem blaster, zwierzę wypłoszone i tak szybko nie wróci. Stwierdziłem, że wieczorem zawiadomię szefostwo o tym incydencie. Ruszyłem za barczystym Indianinem. Miałem nadzieję, że coś wie o wodzie, warto spytać.

Szedł szybko i pewnie, milcząc i nie zwracając na mnie uwagi. Silną ręką torował sobie drogę wśród resztek spalonego słońcem lasu. Otarłem czoło z potu i postanowiłem przerwać milczenie:

- Może ty też jesteś duchem - dogoniłem go i zapytałem łamiącym się ze zmęczenia i zdenerwowania głosem.

- Może to niewykluczone - odpowiedział z uśmiechem.

- Co tu robisz? - spytałem, gdy już wchodziliśmy w wyludnione przedmieścia.

- Straszę, w końcu jestem duchem. - Znów się uśmiechnął, a jego przekrwione oczy zabłyśły wesołością.

- Pytam poważnie. Ten teren jest niezamieszkały od kilku lat.

- Poważnie, to umieram tak jak reszta planety. - Jego twarz gwałtownie spoważniała. - Mieszkam tutaj - wyprzedził moje kolejne pytanie i wskazał wielką umięśnioną ręką na starą glinianą lepiankę, leżącą trochę na uboczu. - Zapraszam. - Zrobił ręką gościnny gest.

Na małym podwórku stała tylko duża przerdzewiała beczka i kupa drewna rzucona na wysuszoną piaskową ziemię. Zatrzymał się przy beczce i podstawił stojące obok wiadro pod wystający z niej kran.

- Wejść i rozgość się, ja tylko nabiorę wody. Drzwi lepianki zasłonięte były wytartym pledem w wyblakłe geometryczne wzory. Odgarnąłem go i pewnie wkroczyłem do środka. Przez okrągłą dziurę w suficie wpadały promienie słońca, rozświetlając przyciasną izbę. Wszędzie wisały grzechotki, korale, małe kości i pióra, połączone w pęczki dziwnych wiązań zwisających gęsto z sufitu i zdobiących odrapane ściany. Pod małym oknem stał prosty, zbity z desek stół, na którym wały się zapisane ręcznie kartki i ołówkowe szkice. Wnętrze było chłodne, usiadłem na zawieszanej na łańcuchach rozścielonej pryczy i wyciągnąłem nogi. Uszy drażniło buczenie starej lodówki, podłączonej do akumulatora stojącego w kącie, ale jak na dzisiejsze przeżycia wszystko to było dla mnie luksusem i dawało błogie poczucie bezpieczeństwa, a przede wszystkim zbawienny chłód.

Wodząc błędnym wzrokiem po ścianach i klepsku podłogi zawałonej śmieciami. Odruchowo złapałem za nadgarstek ręki, gdy pomyślałem o podłączeniu się do programu relaksacyjnego. Jednak w tej szamańskiej chacie jedynym osiągnięciem nowoczesnej techniki były pakiety ze sztucznym jedzeniem, rzucone na lodówkę. Moje gniazdo i wszystkie udoskonalenia były bezużyteczne w tej ascetycznej samotni.

Pled uniósł się do góry i w progu stanął Indianin z pełnym wiadrem wody.

- Przepraszam za bałagan. - Skrzywił się lekko, postawił wiadro obok stołu i pośpiesznie zabrał się za sprzątanie.

- Jak się w ogóle nazywasz? - zapytałem, starając się spojrzeć mu w twarz.

- Kiedyś miałem imię, teraz wołę o nim zapomnieć. - Zdjął wiszące nad stołem kubki i nabrał wody.

- Okay, więc mam cię nazywać „X”, czy wolisz „Y”?

Podał mi kubek i spojrzał na mnie przenikliwie. Po jego dużym orlim nosie spłynęła kropla potu. Nie poruszył się, jakby coś sobie przypominając, ważąc w myślach. Przez chwilę poczułem się nieswojo.

- Mów do mnie jak chcesz, w końcu moje życie należy do ciebie - powiedział drewnianym głosem.

Jego twarz wydawała mi się znajoma, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie go mogłem widzieć.

- Dlaczego tu zostałeś? - spytałem, starając się zmienić temat.

- Człowiek od dawna już żyje wewnątrz mechanizmu, którego nie kontroluje - odpowiedział. Postawił na stole plastikowe opakowania z syntetycznym jedzeniem, po czym siadł na koślawo zbitym taborecie i odwrócił się do mnie. - Kiedyś były to paradoksalne prawa, chore normy podtrzymujące chory świat. Teraz są to prawdziwe maszyny w naszych ciałach i dookoła nas. I jedno, i drugie służą powstrzymaniu natury. I jedno, i drugie podtrzymują istnienie piekła na zewnątrz.

- Więc uciekasz przed piekłem? - spytałem.

- Uciekam przed daniem piekła innym - odpowiedział, patrząc pośpiesznie w podłogę.

- Przecież teraz żyjemy tylko dzięki maszynom. Gdyby nie one, to dawno byśmy nie istnieli.

- My już nie istniejemy. Gdyby nie one, jeszcze byśmy żyli - skwitował krótko. - Wszystko, co stworzyliśmy, mści się na nas. Nasze twory kontrolują liczbę urodzin, powstrzymują agresję, którą same się karmią. Tylko czy my jeszcze jesteśmy ludźmi? - Patrzył na mnie, jakby oczekiwał odpowiedzi na to retoryczne pytanie.

- Ta rozmowa jest bez sensu. Zawsze byli ludzie, którzy rozumieli postęp i potrafili go wykorzystać z pożytkiem dla innych, i zawsze byli tacy, co robili wręcz odwrotnie - starałem się zbić jego argumenty. Z każdą chwilą wydawało mi się coraz dobitniej, że znam tego człowieka. - Wojna była splotem niepomyślnych okoliczności. Zresztą, jak wszystkie wojny. Nie stało się to przez maszyny, ale przez ludzi. - Upiłem trochę wody z metalowego kubka. - Dzięki maszynom nie będzie już wojny. Dzięki nim możemy jeszcze żyć.

Milczał i wydawało mi się, że skurczył się w sobie, jak gdyby moje słowa przywołały jakieś dawno uśpione demony wspomnień.

- To nie wojna - powiedział po chwili. - Wojna była zawsze. Wojna jest naturalna; chodzi o to, jak ją zniekształciliśmy i jakim celom teraz służy. Człowiek jest całością, jest na w pół duchem, na w pół zwierzęciem. Kiedy istnieje tylko biel lub tylko czern, wtedy nie istnieje nic. - Wyrzucił z siebie słowa jednym tchem i zabrał się za przygotowywanie jedzenia.

Przepłukałem wysuszone gardło wodą i postanowiłem nie kontynuować jałowej dysputy. Staliśmy po przeciwległych stronach barykady i obaj nie zamierzaliśmy zrezygnować ze swojego zdania.

„Bezimienny”, bo tak zacząłem nazywać go w myślach, sprzątnął stół i sięgnął po pakiety ze sztucznym jedzeniem. Był całkowicie zaabsorbowany swoją pracą i nie zwracał na mnie uwagi. Przez myśl przemknął mi pomysł, aby zapytać go o wodę. Jednak jedno spojrzenie przez małe okno, na drgające w upalnym powietrzu otoczenie chaty, odwiodło mnie od prób podtrzymywania tej dziwacznej konwersacji. A nuż zechce mi coś pokazać na zewnątrz? Wolałem delektować się miłym chłodem tej lepianki. Znów przyłapałem się na tym, że pocieram gniazdo w nadgarstku i szukam wtyczki, do której mógłbym się podłączyć, aby rozkoszować się programami relaksacyjnymi.

- Zapraszam do stołu - Bezimienny spojrzał na mnie i kiwnął ręką.

Na chropowatym blacie stały dwie miski z dymiącą białą papką. Podniosłem się ciężko i usiadłem na wysuniętym drewnianym taborecie. Sięgnąłem po łyżkę i zabrałem się do jedzenia.

- Niestety, mam tylko o smaku kurczaka - powiedział Indianin.

- Nic nie szkodzi - odparłem z pełnymi ustami. - Jestem tak głodny, że nie robi mi to różnicy.

- Po co właściwie tu przyjechałeś? - spytał.

- Szukam wody. Jestem jednym z tych, co to latają po całej planecie i kopią w piasku, zadowolając się najczęściej głębokością wykopanego dołu - odpowiedziałem i pomyślałem o moim celu. - Nie widziałeś tu jakichś złóż? - spytałem jednak. - Przecież musisz brać skądś wodę. - Przełknąłem i spojrzałem na niego z zawodowym zainteresowaniem.

- Widziałem wiele rzeczy. W zasadzie wszystko oprócz wody odpowiedział, jakby zamyślony. - Wodę, którą mam, kupiłem, zanim wyprowadzili się stąd ludzie. - Wstał z miejsca, odstawiając pusty talerz na lodówkę. - Mam jeszcze kilka beczek, to powinno wystarczyć na parę lat.

- Szkoda, myślałem, że może coś wiesz. Zdjęcia satelitarne były dość dziwne i trudno na ich podstawie do czegoś dojść. - Skończyłem jedzenie i odsunąłem od siebie pusty talerz.

- Swoją drogą, zastanawiam się, co tu się właściwie dzieje. Najpierw błąd w zdjęciach satelity, a potem olbrzymi jaguar i pustelnik bez imienia. - Patrzyłem na niego natargiwie, domagając się wyjaśnień.

- Żądasz prostej odpowiedzi. Ja szukam jej tu całe lata. - Zamyślił się i po chwili jego mięsiste wargi wygięły się w szelmowskim uśmiechu. - Nie ma odpowiedzi, ale mogę ci wskazać drzwi prowadzące do niej. - Wyjął z kieszeni plastikową torebkę pełną ciemnych, nitkowatych i pozwijanych kształtów, i rzucił mi ją. - To pejotl, ciało bogów, jak mawiali Aztekowie. - Obserwował mnie, jednocześnie wyjmując podobne opakowanie dla siebie.

Zaskoczony, zacząłem obracać w palcach małą paczuszkę, przez folię badając jej zawartość. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego; owszem, na studiach często spotykałem się z narkotykami, ale były to głównie syntetyki, amfetamina i tym podobne. Narkotyki, które można było nabywać w sklepach i barach, działały uśmierzająco lub euforycznie, dając zapomnienie. Rząd uznał potrzebę ich udostępnienia, a nawet sam je propagował, ponieważ pozwalały zapomnieć o goryczy, o palącym słońcu i dać namiastkę radości. Przez chwilę można było akceptować świat i nie czuć ciężaru powolnej agonii. Niewielu ludzi wiedziało o roślinach odurzających. Niewielu ludzi wiedziało cokolwiek o roślinach.

- Skąd to masz? - spytałem, nawet nie próbując ukryć zaskoczenia.

- Miałem kiedyś znajomego, pracującego w sztucznych ogrodach, zanim uchwalono ich zamknięcie z braku wody. - Siadł naprzeciwko i wysypał zawartość na swoją wielką dłoń.

- To jak, nadal szukasz odpowiedzi? - zapytał z uśmiechem, przewiercając mnie wzrokiem.

- Jak to się zażywa? - Ciekawość zwyciężyła nad zdrowym rozsądkiem.

Indianin zaśmiał się i podał mi kubek.

- Dobrze pogryź i popij - powiedział, przeżuwać już swoją porcję.

Powoli i metodycznie zgryzłem zawartość torebki na papkę, czując w ustach ziemisty smak i trzaskające co chwila o zęby małe ziarenka ziemi. Popiłem i czekałem na efekt.

Tymczasem mój towarzysz już z zamkniętymi oczami kręcił się w tańcu na środku izby, intonując swoją modulowaną pieśń i zrzucając co chwila ze ścian pęczki piór i grzechotek. Siedziałem i obserwowałem widowisko, czekając z niecierpliwością małego chłopca na efekt działania narkotyku. W ustach czułem metaliczny posmak, jak gdybym przeżuwał kawałek cynkowej rezonującej blachy. Obraz rozszerzył się, mała chatka stała się nagle wielkim światem, nieznanym, obcym i fascynującym. Pieśń Indianina wibrowała mi w głowie, powtarzana echem. Jego postać wirowała, zmieniając się w kolorowy młynek. Ściany wydawały się zaokrąglone, jakby izba nie był prostokątem, ale kopułą lub kłosem. Pióra splecione koralikami wydawały się poruszać, powoli próbując wydostać się z pęczków.

Zacząłem się śmiać, wszystko mnie bawiło i zarazem przytłaczało. Mój histeryczny śmiech przeszedł w urywany gwałtowny szloch, aby po chwili znów zmienić się w szaleńczy chichot. Zacząłem słyszeć rytmiczne, gwałtowne uderzenia bębnow, w które wpleciona była pieśń wirującego w tańcu Indianina.

Przez otwory w pomieszczeniu zaczęło się sączyć chłodne niebieskie światło. Powoli wstałem, z zamiarem przyłączenia się do tańczącego w ekstazie szamana, gdy nagle pieśń i muzyka bębnowy urwały się gwałtownie.

Stałem zaskoczony. Postać Indianina zastygła w nienaturalnej postawie, w połowie dynamicznego półobrotu. Wyglądał jak kadr z zatrzymanego filmu. Zgodnie z prawami grawitacji powinien upaść, gdyż stał na jednej nodze, wychylony całym ciężarem ciała w przeciwną stronę. Jego twarz była pusta i zastygła. W sączącej się z okna i otworu w dachu niebieskiej poświacie wyglądał demonicznie. Tak jakby czas nagle się zatrzymał. Poczujęm się nieswojo. Po plecach spłynęła mi stróżka zimnego potu. Wstrząsnął mną dreszcz. Nagle, z niesamowitym impetem, obie framugi okna otwały się na całą szerokość, roztrzaskując się o ściany. Krzyknąłem i upadłem na podłogę. Silny wiatr zerwał resztki piór ze ścian i sufitu. Po chwili znów wszystko ucichło. Patrzyłem w ciemnoniebieską przestrzeń za oknem. Przewyciężając paraliżujący strach, stanąłem na sztywnych, skamieniałych nogach i ciężkim, ostrożnym krokiem, dysząc, podszedłem do okna. Nie było widać pustyni ani dalszej części miasta. Dostrzegłem za to korytarz, jak gdyby utworzony z błękitnych chmur. Przypominał wnętrze trąby powietrznej leżącej poziomo, mimo to cichej i bezpiecznej. W głębi błękitnej dali ujrzałem żółty punkt, zbliżający się z zawrotną prędkością. Próbowałem się cofnąć, jednak sparaliżowany lękiem, jedyne na co mogłem się zdobyć to nerwowy skurcz, który poruszył moim ciałem, sprawiając, że bezwładne ręce zakołysały się jak u szmacianej lalki. Niewyraźny początkowo kształt zbliżył się na tyle, że bez trudu mogłem już rozpoznać, co to. Przerazenie kolejną falą paroksyzmu wstrząsnęło moim ciałem. Był to jaguar. Zwierzę z impetem i furią sadziło w moim kierunku. Jego mięśnie pracowały jak tłoki maszyny, napinając się i rozluźniając w szaleńczym tempie. Po chwili był już o kilka metrów od okna i lekko wyhamował pęd. Zrobił kilka okrążeń, bacznie mnie obserwując. Stałem jak wryty, oddychając ciężko. Oczy drapieznika patrzyły na mnie, jakby próbowały przewiercić mnie na wylot.

- Zaczynamy podróż! - powiedziało zwierzę nad wyraz ludzkim głosem, prawie nie poruszając szczęką.

Moje nogi wbrew woli poruszyły się, jednym susem przesadzając okno. Jaguar odwrócił się majestatycznie i powoli zaczął truchtać przede mną w głąb błękitnej otchłani. W moich uszach znów zawibrowała muzyka bębnowy. Ściany niebieskiego tunelu zaczynały tracić wyrazistość. Stawały się przezroczyste, odsłaniając gwałtowne sceny. Początkowo wyglądały na barwne, poruszające się plamy, po pewnym czasie nabrały ostrości. Szliśmy przez środek pola walki. Po prawej stronie, na lekkim wzniesieniu, krzątały się postacie ubrane w lśniące napierśniki i hełmy. Konkwistadorzy!, olśniła mnie nagle myśl. Spojrzałem w lewo, aby zobaczyć kolorowy, falujący i wściekle wrzeszczący tłum ubranych w pióra Indian. Za tą dziką armią rozpościerał się widok na dwie gęsto zabudowane wyspy. Małe lepianki tuż nad brzegiem, wielkie świątynie i pałace pogrążone w oczekiwaniu na krwawe starcie dwóch armii. Mój przewodnik nie zwracał na to zupełnie uwagi. Obojętny i dumny, podążał majestatycznie swoją drogą, a moje bezwolne ciało wlokło się za nim jak pies na smyczy.

W szeregach Hiszpanów zabrzmiały ostre, rozdzierające powietrze komendy. Nagle z luf armat bluznął ogień, orząc w kolorowej masie Indian kilka krwawych bruzd. Dzikie, pierzaste morze zafalowało i rzuciło się z furią do przodu. Konkwistadorzy nie mieli czasu na drugą salwę. Sylwetki wściekłych Indian zbliżały się z wrzaskiem. Pomalowane twarze, wykrzywione grymasem nienawiści, i spięte w czuby włosy, były coraz bliżej szanów, pędząc jak niszcząca fala sztormu. W szeregach najeźdźców usłyszałem kolejną komendę. Zza dymu unoszącego się nad fortyfikacją wyłoniła się tyraliera żołnierzy najeżona arkebuzami. Kolejny krzyk dowódcy i salwa z ogłuszającym rykiem zebrała kolejne żniwo. Poskręcane z bólu, okrwawione postacie półnagich wojowników gęsto usiały ziemię. Jednak atak ten nie przerwał, a jedynie wzmógł pęd i gniew Indian.

Zaczynałem się bać. Oszalała, zdziesiątkowana, ale żywa i żadna zemsty armia Azteków była coraz bliżej.

Spojrzałem na kroczącego przede mną jaguara. Lęk ścisnął mi serce. Nie było to już to samo zwierzę. Humanoidalna postać, gęsto okryta sierścią jaguara, prowadziła mnie obojętnie w nieznaną.

Odwróciłem się i spojrzałem ku wzniesieniu, na którym bronili się Hiszpanie. Siwy dym z muszkietów rozwiewał się nad umocnieniami. Nie było tam nikogo, nawet czarne lufy armat gdzieś znikły. Po chwili usłyszałem na pagórku rzenie i chrapanie zdenerwowanych koni. Na szanach pojawiły się postacie kawalerzystów. Sylwetki na koniach, w zakurzonych i powgniatanych zbrojach, otoczył nagle błysk rapierów. Indiańskie oddziały zatrzymały się, a grymas wściekłości zastąpiło zdumienie i trwoga.

Usłyszałem krzyki i jedno przebijające się przez wrzawę słowo: „Teteo!\*” - Beładna przerażona masa wojowników zaczęła cofać się w nieładzie, gubiąc po drodze uzbrojenie i pióropusze z zielonych piór.

Ogorzałe twarze najeźdźców rozpromienił uśmiech triumfu. Nadal widziałem obraz, ale odgłosy i wrzawę

zastąpiły znów rytmiczne uderzenia bębnow. Na czele kilkudziesięciu kawalerzystów wyłoniła się postać w nienagannie czystej i ozdobionej wrytą wicią roślinną zbroi. Przy hełmie, podobnie przyozdobionym, widniała pomarańczowa puchata kita. Postać wyciągnęła powoli rapier i wtedy zobaczyłem jej twarz. Muzykę bębnow przerwał demoniczny wrzask:

- Quetzalcoatl!!!!...

- Gdybym mógł, zatrzymałbym się jak wryty. To byłem ja, ubrany w zbroję konkwistadora i z lekkim zarostem, ale ja! Nie zobaczyłem nic więcej, poczułem tylko silny uchwyt na obu ramionach i coś gwałtownie pociągnęło mnie do tyłu. Upadłem i otworzyłem oczy.

Nade mną stał mój przewodnik, teraz patrzący na mnie dużymi przekrwionymi oczami. Nie był potworem, lecz Indianinem ubranym w skórę jaguara. Czaszka zwierzęcia przysłaniała mu głowę jak hełm, szczerzący się po bokach długimi białymi kłami drapieźnika. Czułem chłód. Leżałem na twardej, zimnej powierzchni. Spróbowałem się podnieść, ale dopiero teraz poczułem więzy na nadgarstkach i stopach, boleśnie wrzynające się w ciało. Szarpnąłem się. Nic z tego, pęta były mocne. Bezradnie rozejrzałem się dookoła, starając się nie patrzeć na mojego przewodnika, który bacznie mnie obserwował, nie wykonując jednak żadnych działań. Obok, po mojej prawej, stały cztery postacie, ubrane tylko w białe przepaski splamione krwią. Spojrzałem na ich twarze i jęknąłem. Włosy zwisały splecione w rdzawo czarne dredy po obu stronach potwornych twarzy. Policzki pomalowane w niebieskie i czerwone pasy. Najgorsze były usta. Ich języki były przekłute dziesiątkami przypominających zapalki patyczków. Krew brudziła zęby i spływała strużką zmieszaną ze śliną po tułowiu, brudząc przepaski. Oczy bez źrenic, same białka, dopełniały widoku tej makabry. Z drugiej strony stała podobnie zmasakrowana czwórka. Nade mną rozpościerało się rozgwieżdżone niebo, w które zacząłem usilnie się wpatrywać, wmawiając sobie, że to tylko haj.

- Nasze słońce gaśnie - powiedział człowiek-jaguar, patrząc na mnie i oczekując odpowiedzi.

Spróbowałem poruszyć ustami, krzyknąć i przebudzić się ze złego snu, jednak język odmówił mi posłuszeństwa, był sztywny i suchy jak kołek. Zamiast tego z moich ust wydobył się bełkotliwy jęk.

- Obudź się, Quetzalcoatl - mówił szeptem. Dopiero teraz zauważyłem kadzidło w jego rękach; fala mdłego dymu owionęła mi twarz.

- Obudź się, Pierzasty Wężu - jego hipnotyzujący głos napłynął z kolejną chmurą dymu - ziemia jest głodna, umiera i woła. Woła w czasie i przestrzeni, krzyczy do nas, aby cię obudzić.

Ostatnie słowa wibrowały mi w uszach. Moją świadomość nagle, jak błyski flesza, zaczęły nawiedzać kolejne fale wspomnień. Pamiętałem sceny walki. Ja i jakiś Indianin. Gigantyczny Indianin. Wisimy w przestrzeni. To Tazatlipoka. Nie wiedziałem, skąd znam to imię, wiedziałem, że jest on bogiem. Ja też nim byłem. Moje ciało było długie, pokryte zielonymi piórami. Gigantyczna bestia wyłoniła się z pustki, w której tonęliśmy. Wyglądała jak wielka świnia z tępyimi zębami i skórą nałożoną na wielkie cielsko jakby na lewą stronę. Rzuciła się na nas z furją i piekielnym rykiem. Odskoczyłem i miotając się na oślep gryzłem bestię gdzie popadnie, zadając jej krwawe rany. Mój towarzysz uderzał w potwora maczugą, co chwila lekko odskakując przed wielkimi, żółtymi zębami potwora. W końcu wyczerpana bestia ostatkiem sił rzuciła się na mego towarzysza. Tym razem nie odskoczył, toporne zębiska wbiły się w jego nogę. Skoczyłem zwierzęciu do gardła i zacisnąłem szczękę, nie zwracając uwagi na opętńczy ryk Tazatlipoki, który leżąc okładał swojego kata na oślep maczugą. Czułem, jak z bestii uchodzi życie. W końcu pokrwawione cielsko osunęło się bezwładnie.

Podniosłem Tazatlipokę. Z paszczy potwora dobiegł nas chrapliwy bełkot.

- Jestem głodna - wysapała zwinięta, okrwawiona masa.

- Udało się, pomyśleliśmy obaj i spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo. Potem stworzyliśmy ludzi i zasiedliliśmy zdobyty dla nich świat.

- Obudź się, Quetzalcoatl - usłyszałem na granicy percepcji głos kapłana.

W jednej chwili w moich myślach przesunęły się obrazy kolejnych wcieleń. Widziałem siebie, jak stoję się człowiekiem, kapłanem. Jak uczę ludzi karmić Ziemię, jak mówię im o wszystkich słońcach. Widziałem długie procesje wspinające się na piramidy z pokorą, radością i wiarą. Sam instruowałem kapłanów. Potem kolejne twarze z kolejnych wcieleń przeleciały w moich myślach jak błyskawica. Byli wśród nich starożytni królowie, cesarz rzymski w laurowym wieńcu, średniowieczny rycerz zakonny, konkwistador, oficer Wehrmachtu i wiele innych. Dowodziłem bitwami, walczyłem, skazywałem na śmierć. Istniałem i widziałem jak krew leje się po obu stronach.

Już nie musiałem nikogo uczyć. Ludzie dobrze zrozumieli moje nauki. Cały świat je znał. Wszędzie lała się krew, dzięki temu istniało życie, paliło się słońce. Kolejne konflikty, małe bitwy, wojny, morderstwa,

wszystko karmiło na wpół żywą bestię. Ja - Pierzasty Wąż - zawsze byłem tam, gdzie lała się krew, przemykając się przez historię jak cień. Wojny, ludobójstwo, obozy koncentracyjne, łagry, egzekucje, zawsze były moją pierwotną nauką, tak dobrze przyswojoną i zrozumiałą przez moje dzieci. Zasnąłem pewien triumfu, zmęczony długim życiem.

Czekałem na przebudzenie. Pograżony w letargu trwałem w kolejnych wcieleniach, regenerując siły. Przez mój sen dałem się zniewolić, dlatego słońce gasło nie o przeznaczonej porze, a bestia świata umierała.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem twarz kapłana. Stał naprzeciwko, w trzymany nad głową rękach widziałem krzemienne ostrze. Wiedziałem, co zrobi, musiał to zrobić.

- Twoje serce należy do nas! - krzyknął i uderzył w mój odsłonięty tors.

Usłyszałem chrupot łamanych kości i poczułem ból. Dziwne, nie bolał mnie mostek, gdzie wbiło się ostrze, ale nadgarstek.

Krzyknąłem i to wyrwało mnie z wizji. Stałem na szczycie piramidy pod rozgwieżdżonym niebem. Dookoła reszta posępnych budowli tonęła w mroku. Na dole, u podstawy piramidy, stał mój aerolot. Bolał mnie nadgarstek. W miejscu, gdzie umiejscowione było gniazdo i zabezpieczające chipy, widniał wielki czarny płat zwęglonej skóry.

Byłem wolny.

Jakiś jęk dobiegł mnie od ofiarnego kamienia. Podszedłem tam. Na ołtarzu leżał mój Bezimienny, mocno spętany linami.

- Wiesz, kiedyś przyśnił mi się demon i kazał tu przyjść - wysapał spękany ustami. - Wiedziałem, że cię spotkam.

Patrzyłem na niego. Powoli wyjąłem nóż z pochwy przy pasie. W srebrnym smukłym ostrzu zatańczyły gwiazdy.

- Moje życie należy do ciebie - powiedział i zamknął oczy. Był spokojny.

Z całych sił wbiłem ostrze w odsłonięty mostek. Jęknął i rzucił się w ostatnim przedśmiertnym spazmie. Wyrwałem pulsujące serce i wzniosłem je do góry z okrzykiem triumfu. Ciepła gęsta krew spływała mi po ręce. Odciąłem broczące ciało i kopniakiem zrzuciłem je z piramidy.

Czarne gęste chmury zasłoniły gwiazdy, ciepły wiatr owiał mi twarz. Na zachodzie błysnął piorun, liżąc ciężkie niebo rozdwojonym językiem błyskawicy. Pierwsze grube krople deszczu spadły na wysuszoną ziemię i zmyły krew z moich rąk.

Spojrzałem na zachód, tam były najbliższe osiedla. Znow muszę ich uczyć od początku. Westchnąłem i w strugach deszczu skierowałem się do aerolotu.

**Radosław Bomba**

*\*Teotl - bóg (l.mn. teteo); Indianie używali tego określenia w odniesieniu do jeźdźców hiszpańskich*